

Hysteria

Biały Gaj

Morannon



Graphics by gloomy

Hysteria is everywhere

Biały Gaj

Morannon

Rozdział 1

Baerun.

Skośnie promienie popołudniowego słońca kąpały się w strudze strumienia spływającego skądś z gór, ze skalistych ramion Naszyjnika Gorgony. Wskakiwały by się ochłodzić, a te dla których woda była zbyt zimna wracały w górę, skrząc się tysiącami barw.

Pachniało upałem i latem.

Na jednym z wielkich szarych głazów zalegających brzeg strumienia siedziała okrakiem kobieta. Podkasawszy do połowy ud sutą błękitną spódnicę, tarła zapamiętałe trzymaną w ręku koszulą o karbowaną deskę washbretu, raz po raz maczając ją w pieniającej się mydlinami balii. Szybkim ruchem odrzuciła na plecy wyzwolone spod chustki, ciemno kasztanowe włosy, otarła ramieniem spocone czoło i zmrużywszy lekko błękitne oczy uśmiechnęła się do towarzyszki, która kilka kroków w górę strumienia mocowała się z prądem, usiłującym wyrwać jej z rąk długie, szare prześcieradło. W końcu strumień dał za wygraną, kobieta uśmiechnięta promiennie zwinęła prześcieradło jedną ręką i mozolnie ruszyła w kierunku brzegu i wiklinowego kosza ustawionego nieopodal balii pieniającej się kożuchem mydlin.

– Jak myślisz? Kiedy nasi wrócą? – Zagadała niebieskooka

– Lepiej byś przestała wiecznie o tym myśleć, Eudoro! – ofuknęła towarzyszkę tęgawa odbierając jej z rąk miękką od mydła koszulę.

– Mojego chłopca nie masz w domu tak samo długo jak twego, – rzuciła wchodząc w wodę – ale ja nie chadzam smutna całe dzionki, w zapaskę nie smarkam!

– Ale... – niebieskie oczy zaszklily się łzami – Toż już dwa miesiące mijają od kiedy ich nie ma.

Boję się... Jurgen mówił, że najdalej na żniwa będzie w domu...

– Prawda to, że i mnie cknę się czasem, zwłaszcza nocką późną sobie dumam, jakby to było dobrze chłopca do piersi przytulić – rzuciła druga kobieta, pokazując w porozumiewawczym uśmiechu piękne białe zęby i nieco przydługie siekacze.

– Ale pamiętaj Eudoro, że to żołnierze. Sami nie wiedzą dobrze gdzie ich rozkaz powiedzie.

– Trudno mi o tym nie pamiętać, Heldryko. To przez tą ich wojaczkę tak się boję... – westchnęła jakby do siebie Eudora

– Wolałabym, żeby Jurgen nie został wojakiem... – podjęła głośniej – Wolałabym żeby było jak dawniej, jak przed pięcioma...

– Wolałabyś?! – koszula pacnęła o brzeg kosza, aż ten zachwiał się i runął do strumienia

– Wolałabyś klepać biedę jak wtedy? Martwić się, że znów mleka nie starczy dla dzieci?! To byś wolała?! Na przednówku oszukiwać głód, w bezsenne noce rozmyślać co będzie jak letnia susza znów zabije plony?! Bogowie trzymajcie! Bo mnie chyba krew zaleje! – Darła się Heldryka, pierś falowała jej groźnie pod rozchełstaną koszulą, ciemne oczy ciskały płomienie.

Jednak zamglone spojrzenie Eudory zdawało się omijać rozwścieczoną przyjaciółkę, błądziła wzrokiem wśród własnych, niewesołych myśli.

– To nie tak miało być... – Szepnęła – Nie tak...

Rozsierdzona nie na żarty Heldryka chwyciła Eudorę za ramiona, bez wysiłku postawiła na nogi.

– Babo!!! – Dmuchnęła we włosy, które wysmyknęły się z ciasno splecionych na uszach warkoczy i we wzburzeniu opadły na czoło.

– Babo! Obudźże się! Nie widzisz jak nam się życie zmieniło na lepsze?! Która baba we wsi nie marzy o tym, żeby jej własny chłop został chociażby zwykłym żołnierzem, nawet nie jak nasi, Baerunskim Kuzmistrzem, a zwykłym ciurą! –

Nie widzisz, że to nie tylko ogromne pieniądze?! To także szacunek! Toż od pięciu roków jesteśmy we dwie najważniejszymi kobietami we wsi! Nawet w mieście nas znają, pozdrawiają jak państwo! Mało ci?!

A ja? Ja pięć roków temu nie marzyłam nawet, że będę mieszkać w mieście! A dziś? – Dumnie wypięła to, co miała najokazalsze – Dziś kupuję dom przy głównej ulicy! Jak mój Velmuth wróci sprzedają tu wszystko w zarazę!

– I ty też powinnaś. – Dodała po chwili, puszczając ramiona przyjaciółki.

– Nie! – Podrzuciła głowę Eudora – My z Jurgenem nigdy nie sprzedamy naszej ziemi! Czemu mam oddawać ojcowiznę jakiemuś baronowi!? – W oczach dziewczyny błyszczał gniew.

Heldryka uśmiechnęła się z satysfakcją, poprawiając mokrą suknię.

– Spokojnie Eudoro, nie unosi się tak – szturchnęła przyjaciółkę pod żebro,

– A nasi, wrócą lada dzień, do żniw już niedaleko, głowa do góry!

I nie zwracając uwagi na gniewnie zmarszczone brwi przyjaciółki skoczyła w środek strumyka zlewając Eudorę strumieniem zimnej wody.

– No chodź! Co tak stoisz niby kołek! – Wołała chlapiąc i prychnając.

– Tej nocy śnił mi się pożar. – Powiedziała wolno Eudora.

Heldryka przestała chlapać, stojąc pośrodku strumienia spojrzała z przerażeniem na stężoną twarz towarzyszki i zagarnawszy mokrą suknię wokół kolan powoli ruszyła do brzegu.

– Pożar... To bardzo zły znak. – Powiedziała, siadając ciężko na kamieniu u stóp Eudory.

Zapadła cisza, tylko bąki grały zapamiętałe w kwiatach koniczyny. Siedziały tak obie dobrą chwilę, wpatrzona w błyszczącą, mieniącą się srebrzyście wodę. W końcu Heldryka chrząknęła głośno, potarła swędzącą powiekę.

– Byle do żniw – sapnęła, – nasi pewno na dniach wrócą. A my, moja kochana możemy się jutro wybrać na tańce, „pod Dzwonem”. – Dodała chcąc rozwiać przykry nastrój – Pono do miasta zjechała kapela. Będzie wesoło! Nie ma co łez dusić, w domu samotnie siedząc, kiedyśmy młode i piękne!

Na dźwięk słowa kapela Eudora podniosła wzrok.

– Kapela? Jaka kapela? – zerwawszy się z miejsca zapłasała po mokrej od mydlin trawie. – Och, Heldryko! Tak dawno już nie tańczyłam!

I jakby zapominając o swoich wcześniejszych troskach pociągnęła przyjaciółkę w stronę strumienia.

Po chwili już obie pluskały się w zimnej wodzie dokazując jak rozbawione dzieci.

Chichocząc i pryskając wokół wodą nie zwracały uwagi na nic poza zabawą, tak, że ten kto obserwował kobiety już od dłuższego czasu nie miałyby żadnych problemów by niepostrzeżenie się oddalić. A jednak, ciemna postać przycupnięta w nadbrzeżnych zaroślach pozostała na miejscu, pożerając wzrokiem jasnooką niewiastę.

Eudora jakby tknięta jakimś przeczuciem zaprzestała harców, obrzuciła niespokojnym spojrzeniem brzeg za sobą i odgarniając z twarzy zmoczone włosy, pochyliła się w przód. Nasłuchiwała.

Także ciemna postać, nasłuchując odwróciła głowę w kierunku biegnącej wałem drogi, obszerny kaptur krył w cieniu rysy jej twarzy.

Od strony wsi natomiast, teraz już wyraźne dobiegło głośne nawoływanie.

– Mama! Maaama!

Eudora skoczyła na brzeg i poślizgnąwszy się na kamieniach pobiegła w kierunku głosu. W tej samej chwili zza otaczających strumień łożyn wychyliła się ciemna, kędzierzawa główka. Osmiorohny na oko chłopiec dopadł kładki przerzuconej nad strumieniem, bose pięty błyskały po belkowaniach mostku.

– Mama!!! Tatko wracają!

– Tatko... wracają... – wysapał chłopiec dopadając do Eudory. – Hans... przyjechali dziś z miasta... , pono Kuzmistrze kwaterują dwa dni drogi stąd, pod Brenen!

Eudora chwyciła syna w ramiona.

– Tuś mi, bączku! Mój mały zwiastun dobrych wieści! – Zakreśliła wraz z synkiem młynka i zaczęła obsypywać wyrrywającego się chłopca pocałunkami.

– Patrzcie państwo, taka nowina! – Uśmiechnęła się nadchodząca z balią i koszem Heldryka.

– Trzeba to uczcić tańcami „Pod Dzwonem”. Ale, ale jak to się późno zrobiło! Wracamy do domu, dzieci.

I cała trójka pobiegła w stronę wsi, zostawiając za sobą strumień, zarośla i pianę mydlin na trawie.

Ciemna postać wyszła z ukrycia i podniósłszy w zamyśleniu bielejący na trawie, zapomniany skrawek płótna spojrzała w stronę, gdzie zniknęły obie kobiety.

* * *

Wieczór zapadł szybko za sprawą gromadzących się na zachodzie ciężkich burzowych chmur. Ściana gór w oddali tylko raz błysnęła purpurowo ośnieżonymi szczytami, po czym okolicę ogarnął ciężki, lepki zmierzch. Zerwał się wicher i nie ustawał kładąc trawy i tłukąc gałęziami drzew, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Wtedy lunął rześście deszcz, ciężkie krople wznosiły kurz z wysuszonego całodziennym upałem dróg i podwórzy, kładły kłosa, przyginając ku ziemi łąn za łąnem. Po czarnym niebie raz po raz przetaczały się gromy, sine rozbłyski co chwilę zniekształcały znajomą przecież i swojską okolicę, zamieniając ją w dziwaczny, wyblakły pejzaż ze snu. W ostrym świetle mury niedalekiego grodu błyskały jak powleczone srebrem, a górujące nad okolicą wieża czarodzieja Villefrëna i ratuszowa baszta rozjarzały się co chwilę jakby zaraz miały stanąć w płomieniach.

Przez opustoszałą wieś sunęła lekko zgarbiona postać, białe włosy wypływające spod obszernego kaptura pozlepiały się w mokre, sięgające pasa strąki. Szeroki rękaw opończy nie zakrywał poplamionego czerwono strzępka płótna, ciemne wężyki krwi spływały po nadgarstku, znacząc dłoni i skapując razem z wodą z długich białych palców, zaciśniętych na zdobionej rękojeści wąskiego sztyletu.

Mijając kolejne kamienne domy, postać stanęła u bramy okazałego obejścia w centrum wsi. Szum deszczu zagłuszył skrzyp drewnianej furtki, stłumił odgłos kroków w błocie podwórza.

Pod rozłożystymi konarami rosnącej u płotu, wielkiej, pochylonej od starości gruszy, czerń burzowej nocy była jeszcze głębsza. Zatrzymawszy się w cieniu, postać zastygła bez ruchu, zapatrzona w wąskie smugi światła przebłyskujące przez szpary w okiennicach.

Łowczy Hans, rzeczywiście przyniósł wspaniałe wieści. Eudora spędziła prawie całe popołudnie wypytyując go o wiadomości. Teraz rozpromieniona krzątała się po izbie przygotowując wieczerzę dla siebie i dzieci.

Zrobiło się ciemno, deszcz lunął potężnie, zanim uporała się z wieczerzą i udało jej się zapędzić do domu małego Johana, który koniecznie chciał podziwiać bijące coraz częściej pioruny. Nie udało jej się jednak uspokoić czterorohnej córki, Ulgi, która zwinięta w kłębek na przypiecku, zbudowanego jeszcze przez dziada Eudory, a pomalowanego przez jej ojca na ciepły czerwony kolor, ogromnego pieca żaliła się głośno, ściskając słomianą lalkę.

– Mamusiu! Nigdzie nie ma Kamyka! – kwiliła mała Ulga – Tak pada, woda kapie z dachu i wiatr tak wyje, ojoj jak wyje strasnie! I tak się błyska. – Uderzyła w płacz dziewczynka.

– Pomóż mama! Kamyk na pewno boi się buzy! Posukajmy go! Prose! Mamusiuuu!

Eudora starała się przetłumaczyć córce beznadziejność nocnych poszukiwań, w końcu jednak dała za wygraną, narzuciwszy szal na ramiona, pogłaskała córkę po kędzierzawej główce.

– Dobrze, już dobrze, zawołamy Kamyka, tylko cichaj już, cichaj. – Podniosła się ciężko i ruszyła do drzwi odprowadzana parą splakanych niebieskich oczu.

Żółty prostokąt rozjaśnił podcień chaty, gdy Eudora stanęła w progu. Zaciskając dłoń na skraju szala, rozejrzała się nerwowo.

– Kici, kici! Kamyk! – Krzyknęła w noc.

Ulewa zagłuszyła jej głos, deszcz szumiał w liściach starej, rosochatej gruszy rosnącej w rogu podwórza, krople siekące próg rozpryskiwały się wysoko, znacząc bieloną ścianę zaciekami błota. Zwierzęta tłukły się w oborze, woły ryczały raz po raz, tupały niespokojnie. Wiatr wył i skowyczał, w tym skowycie czaiła się jakby groźba, Eudora zadrżała i postąpiła krok w głąb sieni. Nagle błyskawica zaalała podwórze oślepiającym blaskiem, kobieta zachłysnęła się jękiem, cofając się nerwowo napała plecami na ościeżnicę. Grzmot przetoczył się nad wsią. Pod drzewem, w cieniu rzucanym przez niskie, zmoczone gałęzie, ktoś stał. Kolejny piorun wydobył na moment z ciemności bladą twarz, otoczoną białymi włosami. Huk gromu zagłuszył krzyk, gdy przerażona kobieta rzuciła się do wnętrza. Ryglując drzwi drżącymi rękami starała się nie poddawać panice.

Ale mimo starań, jej strach udzielił się dzieciom, kiedy wróciła do głównej izby i nerwowo sprawdzała szczelność okiennic. Ulga otwarcie płakała w kącie przypiecka, nawet rezolutny zazwyczaj Johan był przestraszony i blady.

– Cicho, cicho dzieci. – Starała się je uspokoić, chociaż głos jej drżał i łamał się nienaturalnie.

– To tylko burza, to nic. Bogowie gniewają się troszkę, ale jutro wyjdzie piękne, ciepłe słońce. Cicho, cicho dzieci.

Szeptwała, a potem nuciła cicho kołysząc córkę w ramionach.

– Ciepłutkie słońko, takie jakie świeciło, kiedy tatko jechał do grodu. . . – zanuciła z ustami przy włosach córeczki.

– Chcecie żebym wam opowiedziała o tatku? No cicho już, cicho. . .

– O tatku? Tak! Opowiec o tatku! Jak tatko został lycezem! – Otarła nossek Ulga, chociaż całą historię znała na wyrywki.

– Tak, opowiedz mamó! – podchwycił Johan, a oczy zapaliły mu się, jakby na myśl o ojcu zapomniał o strachu.

Eudora położyła się obok dzieci, objęła każde ramieniem, przytuliła.

Burza szalała za szczelnie zamkniętymi okiennicami, na kominie głośno i uspokajająco trzaskał ogień, noc i strach zostały za drzwiami. Z wolna popłynęła opowieść o pewnym letnim popołudniu, przed pięcioma rohami, kiedy Jurgen Hetz wraz ze swoim przyjacielem Velmuthem udali się do miasta w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Dzieci słuchały w skupieniu, a i Eudora z wolna uspokajała się, pod wpływem wspomnień zapominając o strachu.

Po około dwóch pacierzach Eudora pocałowała główki śpiącej dwójki, opatuliła dzieci pierzyną i delikatnie zsunęła się z zapiecka. Burza się skończyła, deszcz padał coraz rzadszy i tylko wiatr wył w obejściu, trzaskając okiennicami, huczał w gałęziach starego drzewa. Uśpiony opowieścią lęk wrócił ze zdwojoną siłą. Eudora zapaliła świecę i wolno, na palcach, podeszła do zaryglowanych drzwi. Wstrzymując oddech przyłożyła ucho do chropowatych desek, nie usłyszała jednak nic prócz wycia wiatru i wody skapującej ze strzechy, dźwięku kropel rozbijających się o próg chaty. Przeniknął ją dreszcz, szybko wróciła do wnętrza, dorzuciła drew pod kominem i nie gasząc świecy przeszła do komory. Zapaliła jeszcze dwie świece, zatknięte w lichtarze po obu stronach dużego, drewnianego łoża. Otulona w piernaty, leżała wpatrując się w belkowany strop, wsłuchana w niepokojące odgłosy deszczowej nocy.

Czarna sylwetka oderwała się od pnia gruszy, ruszyła chwiejnie w kierunku budynku stodoły. Ciężkie drzwi skrzypnęły gdy wsuwała się w pachnącą sianem ciemność.

Deszcz rozmywał ślady stóp w błocie podwórza.

* * *

Ranek wstał pogodny, splukane nocnym deszczem trawy i pola odetchnęły mgłą. Eudora obudziła się wcześniej, zerwawszy się z łóżka pobiegła do głównej izby. Dzieci spały jeszcze, ogień pod kominem wygasł, chociaż popiół był jeszcze ciepły. Eudora rozejrzawszy się po wnętrzu i z wahaniem ruszyła do drzwi. Wyjrzała na podwórze. Pusto, żaden ślad nie wskazywał na obecność nocnej zjawy, niebo błyszczało pierwszymi promieniami słońca, pozostałe po nocnej ulewie kałuże błyszczały setką tęczyowych refleksów. Wróciwszy do izby zbudziła dzieci.

– Wstawajcie dziatki. Słońko już wysoko, czas na jarmark. Ogarnijcie się szybcitko, mama zaraz wróci.

To mówiąc sięgnęła po widły stojące wśród innych sprzętów pod ścianą sieni i ruszyła w kierunku stodoły.

Otworzyła ciężkie wrota, kurz zatańczył w promieniach słońca wpuszczonych nagle do ciemnego wnętrza, mysz przebiegła przez polepę u stóp sękatej drabiny. Klepisko w rogu pomieszczenia znaczyły ciemne zacieki, pochyliła się nad nimi, w zamyśleniu, zastanawiając się czy poprzedniego dnia też tam były. Rozejrzała się po stodole, wrota do obory były zamknięte, zwierzęta tupały i parskały za drewnianym przepierzeniem, typowe odgłosy poranka. Eudora wbiła widły w kupkę siana tuż przy ścianie.

Ale oprócz siana było tam coś jeszcze.

Kobieta strząsnęła żdzębła z żeleźca i zachłysnęła się, głośno wciągając powietrze. Ze ściśniętego gardła zamiast krzyku wydobył się jedynie zduszony skrzek. Padła na kolana, zgięta w suchym wymiotnym spazmie, oczy zaszklily się łzami. Klęczała dobrą chwilę, oparłszy głowę o kolana, po czym pomału, zataczając się, wyszła na podwórze. Słońce świeciło jasno, ale ciemność wirowała jej przed oczami, czarnymi płatkami. Eudora wolno osunęła się na próg, zapatrzona bezmyślnie w lśniące kałuże.

W rogu stodoły, nienaturalnie skrzyżowane, błyskające białymi kośćmi spod odartej skóry i obgryzionego ciała leżało truchełko kota Kamyka. Zastałe, szkliste oko wpatrywało się w ciemność.

Jakiś natarczywy dźwięk wyrwał Eudorę z otępienia. Mrugnęła kilkakrotnie, rozejrzała się wokół siebie. Stwierdziła ze zdziwieniem, że wcale nie jest ciemno, a dźwięk rozlegający się tuż nad jej uchem to głos małej Ulgi.

– Mama! – wołała dziewczynka, szarpiąc matkę za ramię. – Na jalmark, mama!

Eudora wstała chwiejnie, rzuciła okiem na drzwi stodoły i ruszyła za córką w stronę chaty. Ulga biegła obok niej nie przestając paplać.

– A wczoraj usnęłam tak sybciutko i nie słyszałam jak tatko zastselił japko, jak to było, mama? Opowiesz?

A nie doczekawszy się odpowiedzi, czy bodaj reakcji, nie zrażona ciągnęła.

– A Johan mówi, że tatko włacają! Naprawdę włacają? Wies kiedy? Bo Johan mówił, że nie wie, ale ty pewnie wiesz, plawda mammo? A czy to plawda że Velmuth włacają z tatkiem? Na pewno plawda i sie Bluno uciesy. Plawda że sie uciesy, mammo? Mammo!?

– Tak. Tak dziecino. – Eudora nawet nie starała się zrozumieć paplaniny córki, idąc automatycznie, potknęła się o próg. Gdy weszły do izby Johan już sprzątał naczynia ze stołu.

Po niecałym pacierzu cała trójka ruszyła w kierunku miasta.

* * *

Gościniec roił się od podążających do grodu mieszkańców okolicy. Rażno turkotały wozy, konni wzburzali za sobą tumany pyłu, a stado świń które ku rozpaczyci młodego pastucha usiłowały zdobyć wolność, dostarczyło użytkownikom drogi chwilowej choć niezamierzonej przerwy w podróży.

Eudora szła ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, nie zwracała uwagi na współużytkowników traktu. Johan pobiegł przodem dołączając do grupki podrostków zabawiających się rzucaniem kul błota pod kopyta przejeżdżających koni, Ulga drepcząc uczepona matczynej spódnicy gadała nieustannie. Eudora nie słuchała, błędząc myślami gdzieś daleko.

– Mammo...? Ma – Mo! Zniecierpliwiona dziewczynka szarpnęła Eudorę za rękaw.

Kobieta spojrzała w dół, nie było to pełne zainteresowanie, ale Ulga rada z efektu zasypała matkę potokiem paplaniny

– A wiesz, że Bluno widział najpiękniejszy kwiat Cinnábrîs? Kwiat papłoci, wiesz? Można go zobaczyć tylko raz w rohu i tylko w nocy, wiesz? A Bluno go widział, wiesz mammo?

A wiesz gdzie go widział? Ten kwiat? W Białym Gaju! To niedaleko nasej wioski, całkiem bliżutko! Mamusiu? Słyszysz mammo?!

– Tak, dziecino? – Eudora potarła twarz.

– Co kochanie?

– Widziałaś kiedy kwiat papłoci, mammo?

– Kwiat paproci? Nie, nigdy. – dodała po chwili namysłu.

– Czemu pytasz, dziecino?

Ale Ulga już zajęta czym innym wyrwała się do przodu wołając głośno.

– O! O! Pats mammo! Bluno! Z mamą! Tam, psy blamie! Machają nam, pats!

Eudora podniosła wzrok, wysoka sylwetka machającej do nich Heldryki otoczonej gromadką rozwrzeszczanego potomstwa obojga płci wyróżniała się na tle świątecznego tłumu, jak wieża wyróżnia się z miejskiej zabudowy. Ulga puściła się biegiem w ich stronę, Eudora także przyspieszyła kroku.

Bramy grodu były otwarte na oścież, Strażnicy wsparci na halabardach taksowali tłum wlewający się kolorową strugą do miasta i dalej na plac pod ratuszem.

Oczekująca pod murem Heldryka zagarnęła dzieci ramieniem, drugą ręką chwytając w pasie Eudorę ucałowała ją siarczyście i razem weszły do grodu, odprowadzane znudzonym wzrokiem wartowników.

Mimo wczesnej pory plac targowy wrzał. Handlarze przekrzykiwali kupujących, kupujący starali się zagłuszyć siebie nawzajem, konie rżały, drób gdał i piał przejmująco, a ponad ogólnym pandemonium, wybijał się głos ratuszowych dzwonów oznajmiających rozpoczęcie dnia targowego.

Stukot młotów kowalskich z Zaułka Płatnerzy mieszał się z okrzykami przekupniów zachwalających swój towar, z płaczem dzieci zagubionych matkom gdy te zajęte były gorliwym targowaniem się o stalowe i miedziane rondle, przechodnie spychali się raz po raz z drewnianych trotuarów, a wpadając po kostki w zalegające plac błoto i odpadki kleli w niebogłoty. Heldryka sunęła przez tłum jak wojenna galera, Eudora podążała za nią starając się nie tracić z oczu małej Ulgi, w końcu wzięła ją na ręce, w obawie, że dziki tłum porwie je i poniesie w różne strony. Heldryka pozwoliła swojemu potomstwu rozbiec się po placu, pod opieką najstarszego syna, Hansa

– Tylko pamiętaj, Hans i ty Bruno, co byście wrócili do dom przed południowym dzwonem. Ani chwili później, pamiętajcie! Krzyknęła jeszcze za dziećmi, które wyzwolone spod matczynej kurateli ochoczo ruszyły w największą ciżbę.

– I co tam, Eudoro? – Zagadała gdy zatrzymały się, by obejrzeć wstążki i naszyjniki wystawione na straganie przez długowłosego półelfa

– Jakaś blada jesteś, moja kochana. Wszystko w porządku?

– Boję się Heldryko, ktoś mnie podgląda. Taka jestem przerażona, on... – Eudora z roz-targnieniem mnąc w dłoniach podniesiony z kramu koronkowy czepek, nie zdążyła powiedzieć nic więcej, popchnięta silnie przez niskiego osobnika w kraciastej, zielonej kamizeli, który pędem wypadł zza straganu sprzedawcy warzyw, zatoczyła się, z ledwością utrzymując równowagę. Osobnik zakręciwszy się na pięcie, posłał zszokowanej Eudorze promienny, szczerbaty uśmiech, zatupał kędzierzawymi stopami i zanurkował pod stojący nieopodal wóz.

Uderzenie serca później zza rogu wypadł rozpychając tłum na swej drodze gruby, łysiejący jegomość.

– Łapaj! Trzymaj! Goń złodzieja!!! – Darł się łysy, sapiąc jak miech kowalski. – Kaletkę mi ukradł! Łapserdak!

Kilka głów odwróciło się w stronę hałasu. Z za pleców grubasa wychylił się mały chłopiec i ciągnąc za rękaw zawołał.

– Tam, tam uciekł! Widziałem! Za te beczi się schował!

Grubas puścił się pędem we wskazanym kierunku, wykrzykując groźby i przekleństwa, które wkrótce utonęły w ogólnym wrzasku, gdy hałaśliwy tłum zamknął się za jego plecami.

– Straż! Gdzie jest straż?! – Tęga kobieta wychyliła się do połowy zza płachty wozu, na której wielkimi, koślawymi literami wypisane były ceny garnków i innych kuchennych utensyliów. – Świat się kończy! Sami złodzieje i pijusy! Tak! Ty też, łachmyto! Wydarła się na wspartego o mur podrostka, szczerzącego zęby w beczelnym uśmiechu.

– Do czego ten świat zmierza, patrz pani. – Zwróciła się handlarka do Heldryki. – Straż się nie zjawia kiedy jej trzeba, bandyci w biały dzień po ulicach ganiają! Nieludzie, karzełki przebrzydłe, tfu! Uczciwemu człowiekowi strach z domu wyjść. Świat się kończy! Kilka głosów przytaknęło straganiarce. Heldryka już zamierzała odpowiedzieć, dołączając się do ogólnego narzekania na kończący się świat i grasujących wszędzie rozwydrzonych nieludzi. Jednak pobladła nagle Eudora, silnie ścisnęła jej przedramię, wbijając paznokcie w skórę ręki. Heldryka podążyła wzrokiem za spojrzeniem przyjaciółki.

Wśród kotłującego się na placu tłumu, tuż pod podwyższeniem szafotu stała samotna postać. Ludzka masa, nie pozostawiająca piędzi wolnej przestrzeni wszędzie wokół, zdawała się omijać człowieka, owiniętego ciemnym, jakby zbyt wielkim na chudą sylwetkę płaszczem. Spod szerokiego kaptura wypływały białe włosy, czarne oczy płonące w nienaturalnie bladej twarzy wpatrywały się w Eudorę.

– Co... – zaczęła Heldryka – To on szpicluje za tobą? Nic się nie bój, kochana, zaraz sobie porozmawiam z tym obwiesiem.

Biust Heldryki zafalował groźnie gdy zakasawszy rękawy ruszyła w kierunku osobnika w czarnym płaszczu. Nagle zatrzymała się zdezorientowana. W miejscu gdzie jeszcze przed chwilą stał białowłosy, kłębił się zwyczajny targowy tłum. Po dziwnym człowieku nie został żaden ślad.

– Zniknął. I dobrze! – Heldryka natychmiast odzyskała dobry humor. – Lepiej dla niego, żeby mi się więcej na oczy nie pokazywał! Nic się nie martw kochana. A teraz idziemy do świątyni, czas najwyższy.

– Johan! Ulga! Chodźcie dzieci. – Co mówiąc Heldryka popchnęła przed sobą całe towarzystwo, kierując się w stronę górującego nad placem budynku świątyni.

Rozpychając tłum przed sobą dotarli do szerokich, kamiennych stopni. U wrót świątyni zwyczajowo siedzieli żebracy, potrząsając prośbalnymi kijami. Heldryka i Eudora z dziećmi weszły w chłodny cień kamiennego portalu. Zgiełk placu pozostał za nimi, nieliczni wierni snuli się między posągami bóstw, lub klęczeli przy końcu nawy, wznosząc ręce w geście modlitwy.

– No dziatki, biegnijcie poprosić Dalha, naszego Opiekuna, żeby tatko szybko wrócili do domu. – Szepnęła Eudora pochylając się nad dziećmi.

– Johan, opiekuj się siostrą.

Sama zaś ruszyła w kierunku głównego ołtarza. Heldryka pospieszyła za nią. Szły wolno rozglądając się po uspokajająco cichym wnętrzu. Kamienne posągi bogów spoglądały na nie z cokołów ustawionych wzdłuż nawy.

Minęły statwę Lotha w rozwianym płaszczu i stojącą naprzeciw niego, malowaną zielenią i złotem postać Lann, Matki Natury. Idąc dalej minęły posąg Opiekuna ludzi, Dalha wspartego na wielkim, czarnym młocie. Pod tą rośliną, otuloną błękitnym płaszczem figurą kuliły się postacie dwójki dzieci, Johan i Ulga wznosząc ramiona modlili się zapamiętale. Przeciwległą niszę zajmowała figura Wielkiej Matki. Era zdawała się pochylać opiekuńczo nad całym światem, złote oczy posągu odbijały światło wpadające do świątyni przez liczne wykusze w sklepieniu. Heldryka zatrzymała się przed statwą kobiety, dotknęła z czcią rzeźbionych fałd płaszcza okrywającego nagie ciało. Ale rozejrzawszy się, stwierdziła, że przyjaciółka idzie dalej, więc i ona skierowała

się w stronę głównego ołtarza. Na końcu nawy, na tle wielkiego, umieszczonego we wschodniej ścianie okna, na czworościennym cokole wznosił się, aż pod granatową, malowaną w gwiazdy kopułę, wielki kamienny miecz, znak Stworzyciela, Ojca wszystkich bogów. Miecz rzucał długi cień na posadzkę świątyni.

Eudora opadła na kolana, Heldryka po chwili dołączyła do przyjaciółki. Modliły się długo, wpatrzona w symbol Toûla. Wreszcie Heldryka podniosła się ociężale i lekko dotknęła ramienia Eudory.

– Czas na nas. – Szepnęła do ucha przyjaciółki.

Eudora wzdygnęła się, jak obudzona ze snu, potarła twarz obiema dłońmi, rozejrzała się po wnętrzu, po czym wstała chwiejnie i obie kobiety ruszyły ku wrotom świątyni.

Zalało je słoneczne światło, uderzył upał, rozżarzone powietrze falowało nad placem. Schodząc po kamiennych stopniach rozglądały się ciekawie wokół, nagle Eudora złapała przyjaciółkę za rękę i drżącą dłonią wskazała coś w tłumie przed nimi.

U stóp schodów, wsparty o jedną z wielkich kamiennych mis ofiarnych stał, wlepiając rozgorączkowane spojrzenie w schodzącą po schodach Eudorę, znany już Heldryce, starszy mężczyzna.

Poblądła dziewczyna zatrzymała się w pół kroku.

– Heldryko... – szepnęła zduszonym głosem. – Nnnie zejść tam! Boję się go! Posłuchaj... o... on...

Ale Heldryce wystarczyło jedno spojrzenie na przerażoną towarzyszkę. Nie zastanawiając się wiele wydała z siebie zduszony, przypominający warknięcie odgłos, pierś zafalowała jej gniewnie, oczy pod szerokimi brwiami błysnęły złowrogo. Ścisnęła silnie przedramię Eudory i ruszyła szybko w dół po schodach.

Mężczyzna zdawał się jej nie zauważać, aż wyrosła przed nim, przewyższająca go niemal o głowę, groźnie wsparta pod boki. Sapała głośno.

– Czego chcesz od nas?! Obwiesiu! – krzyknęła łapiąc zaskoczonego mężczyznę za poły płaszcza

– Szpiclujesz!? Kobiety nachodzisz niewinne?! – pchnęła go w pierś.

Osobnik zachwiał się, zaskoczony. I zmarszczywszy brwi spojrzał w twarz atakującej go kobiety.

– A pokaż mi się jeszcze raz na oczy! – darła się Heldryka, – Dziadu!!! Ja ci pokażę! – Znowu, z całej siły, popchnęła mężczyznę, aż ten zatoczywszy się wylądował plecami na kupie odpadków.

– Ja ci... – Heldryka nabrała głęboko powietrza, otworzyła szeroko oczy.

Nagle zamrugnęła szybko, rozejrzała się zdziwiona. U jej stóp, z kupy na wpół zwiedłych liści kapusty, zbierał się niezdarnie starszy mężczyzna. Heldryka popatrzyła na niego zaskoczona. Spojrzała na siebie, zdezorientowana powiodła wzrokiem po otaczającym ich tłumie. Ludzie stali wokół pokazując ją palcami, coś krzyżąc.

– Ja... – zaczęła cicho – Ja...nie... – Po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem rozpychając tłum przed sobą.

– Nic się nie stało waszmości? – Opasany rzeźnickim fartuchem krasnolud pochylił się nad wstającym niemrawo z ziemi mężczyzną.

– Pomóc może w czym? Straż wezwać?

Ale mężczyzna potrząsnął tylko głową i strzepując z płaszcza resztki kapuścianych liści oddalił się w stronę ulicy Kaletniczej.

Zbiorowisko pozostało na miejscu, ludzie kręcili głowami, rozpamiętując wydarzenie.

– Patrz pan, jakie te baby zadziorne! – odezwał się tegi jegomość zwracając się do niewysokiego stojącego obok kupca. – Jeno by się darły, a wyzywały. . .

– To z upału pewnikiem – odezwała się chuda handlarka oglądając się za znikającą w tłumie Heldryką

– Z upału, nie z upału. Mało to kołowatych bab po świecie chodzi?

– Eeeeeeeeeeeee, gdzie tam ona kołowata! – smarknął brodaty sprzedawca warzyw.

– Ja tą babę znam. To Velmutowa żona, zawsze postrzelona była. Zajadłe toto, jako krasnolud, z przeproszeniem pana rzeźnika. A parę w łapie ma, że ho ho!

– Ano, od razu widać, baba jak piec. . . Ale Kuzmistrz Velmuth powinien krócej żonę trzymać, widział to kto? Bijąc ludzi na ulicy! – zapiał wysoki, chudy handlarz artykułami żelaznymi.

– A ta ofiara gdzieś znikła. . . – rozejrzała się po placu pulchna straganiarka – Może on jej co złego uczynił? Ten siwy? Złodziej albo rozbójnik to jakiś? Milczek! Widział go kto?

Nikt nie umiał odpowiedzieć, wszyscy rozejrzeli się po rynku. Ale po dziwnym osobniku nie został nawet najmniejszy ślad.

– Ano, zbój nie zbój, zabawiłem się, a teraz do roboty trza – zatarł ręce wielki chłop w utylanej wapnem opończy. – Nie ma co stać ludziska, nic więcej ciekawego nie wystoim.

Tłum kiwając głowami rozszedł się powoli i już po chwili cały rynek tętnił znów zwyczajnym targowym gwarem.

Zaskoczona zachowaniem Heldryki Eudora złapała dzieci i ruszyła za przyjaciółką w tłum. Dogonili ją tuż przed miejską bramą. Heldryka szła mamrocząc coś do siebie. Zrównawszy się z nią Eudora chwyciła ją za rękę.

– Co się stało Heldryko? Co on ci zrobił?!

– Co? A to ty. Że niby co mi zrobił? Nic się nie stało! – Heldryka uśmiechnęła się niepewnie.

– To pewnikiem przez ten upał mnie zamroczyło! – Potarła policzek uśmiechając się do Eudory.

– No, ale myślę, że nie będzie cię już nachodził ten typ! Pogadałam sobie z nim. . .

Heldryka starała się mówić wesoło, jednak widać było, że nie jest do końca przekonana o tym co mówi.

– Trzeba się spieszyć! Już dawno po południowym dzwonie. Idzicie do mnie na obiad, bez gadania.

– Ale. . .

– Nie słyszę „ale”! Moim pierogom się nie odmawia! A potem na tańce!

– Ale dzieci. . .

– Oj Eudoro, Eudoro! Że też ty zawsze musisz się wszystkim martwić! Dzieci zostaną u mnie. Krzywda im się nie stanie. A w gromadzie raźniej im będzie.

Ulga z Johanem, którzy przysłuchiwali się rozmowie drepzcząc w krok za kobietami przytaknęli chórem.

– Tak!!! Zostaniemy! Nic się nie martw mama!

Eudora przestał się opierać i nie mówiąc już nic więcej cała czwórka ruszyła szparko ku majaczącej w roztętnionym powietrzu wiosce.

* * *

Gospoda „Pod Dzwonem” wciśnięta między budynek straży i skład piwny kupca Markusa Grosa rozbrzmiewała gwarem. Przez otwarte na oścież okiennice wypływał zapach pieczystego, czosnku i piwa.

Dwie kobiety minęły siedzących na schodach wyrostków i przecisnąwszy się przez ciżbę tarasującą wejście osłonięte sztywną od tłuszczu kotarą, weszły do wnętrza.

Wielka sala gospody była pełna gości, długie stoły odsunięto w głąb i to właśnie tam kłębił się największy tłum. Centralną część pomieszczenia zajmowało ogromne palenisko, na którym obracane na różnie przez dwóch synów karczmarza, smażyły się, kąpiąc obficie tłuszczem wieprzowe półtusze. Było ciemno, jeśli nie liczyć blasku przygasających co chwile płomieni z komina. Nieheblowane deski i zalegające podłogę słomiane maty pachniały żywicznie, ich woń zlewała się w jedno z zapachem czosnku, pieczonego mięsa, kapusty, piwa i ludzkiego potu. Dym gryzł w oczy.

Przyjaciółki rozejrzały się po izbie, oberżysta niosący dwie kopące silnie olejowe lampy powitał je szerokim uśmiechem

– Witam panie kuzmistrzowe! Witam! – Zgiął się w ukłonie.

– Zaszczyt to dla mnie! Proszę, zapraszam! – Po czym powarkując na spoconych, czerwonych od żaru podrostków, obracających rożen, ruszył rażno w kierunku kłębiącego się w końcu sali tłumu.

Heldryka złapała go za ramię.

– Jedną chwilę mości Enger – huknęła mu prosto do ucha – Coś cicho tutaj!

Karczmarz zdziwiony spojrział na nią, potem rozejrzał się po gwarnym, huczącym setką głosów otoczeniu.

– Eeee, tego...

– Kapela, mości karczmarzu! Czemuż to muzyki nie słyhać? Myśmy tu z wielmożną panią Eudorą potańcować przyszły! Każ im zaczynać! – Heldryka dumnie wypięła piersi obciśnięte czerwonym, wyszywany serdakiem.

– A co też szanowna kuzmistrzowa! Nie pora teraz na grajków, kiedy...

Ale nim karczmarz skończył, Eudora pisnęła cienko i rzuciła się w kierunku gromady obsiadającej stoły. Przypadła do postawnego, odzianego w wytarty nabijany ćwiekami kubrak mężczyzny, zasypała go pocałunkami.

Również Heldryka dostrzegła w tłumie swojego męża i potraćwszy silnie perorującego karczmarza pobiegła na spotkanie niedźwiedzich ramion Velmutha.

– Jurgen! Kochany! – Eudora nie próbowała nawet powstrzymać łez cisnących się do oczu

– Wróciłeś! Tak bardzo tęskniłam!

– Ano wróciłem turkaweczko! Wróciłem! – Wąsaty woj zdarł z głowy miękką, ozdobioną piórem kapelusz i przycisnął żonę do piersi.

– Ale ty jesteś ranny... Jurgen! Co się stało!? – Głos jej się załamał, łzy spłynęły po zarumienionych policzkach.

– Cicho, cicho turkaweczko. – uściśnął ją silnie, posadził sobie na kolanach – To nic, to tylko draśnięcie.

– Velmuth! Stary byku! Ile to trzeba na ciebie czekać, he?! – Heldryka zwinnie jak na swoją posturę wcisnęła się w tłum oblegający dwóch wojaków.

– Heła! Słoneczko ty moje! – Krzyknął nosowym basem brodac wbity w skórzany, barwiony czerwono kubrak.

Zerwał się roztrącając biesiadników, porwał żonę w ramiona, aż zafurkotała spódnica.

– Gdzie żeś się szlajał?! Mężusiu mój kochany! – Heldryka otarła wierzchem dłoni zwilżone nagle oczy.

- Właśnie Jurgen, czemu cię tak długo nie było? – Podchwyciła uczepiona szyi męża Eudora.
- Ano walczyło się, turkaweczko. . .
- Ha! – potwierdził Velmuth gromko. – Dalekośmy chadzali, nie ma co!

Karczmarz przecisnął się do stołu stawiając na dębowej półce nad głowami biesiadników przyniesione lampy. Żółty blask zalał rozpromienione, zaczerwienione twarze.

- Należy nam się opowieść! – zawołał oberżysta przecierając stół fartuchem
- Opowiedzcie cosik panowie kuzmistrzowie! Nie dajcie się prosić!
- Ta! Opowiedzcie! Opowiedzcie!

Odezwały się liczne głosy.

- A bo to dużo jest gadać. . . – Zaczął Velmuth
- Mówcie ta! Mówcie! – biesiadnicy obsiedli wojaków ciasnym gronem.
- Dobra, dobra! – poprawił wąs Jurgen – Ale o ciszę proszę!

– Cisza! Cisza! – rozległo się z kilku punktów sali.

– I piwa, karczmarzu, piwa! – zagrział Velmuth.

– No więc było tak. . . – Jurgen rozsiadł się wygodnie pieszczotliwie klepiąc Eudorę.

– Wyruszyliśmy wraz z oddziałem , właściwie nie wiedząc dokąd i po co. Dowódca w ogóle zabronił o to pytać.

W końcu, po jakiś dwóch tygodniach, dobrze mówię? No, więc po dwóch tygodniach ciężkiego marszu dotarliśmy do podnóża Naszyjnika Gorgony. . .

– Nogi nam z dupy wychodziły! – sarknął Velmuth zdmuchując pianę z kufła.

– Właśnie. Zakwaterowali nas w ostatnim grodzie przed samymi górami. Nie podając detali, nakazali dzień odpoczynku.

– Nie musieli nakazywać. – Velmuth mrugnął do siedzącej mu na kolanach Heldryki

– Ale co to był za odpoczynek, Dalh widział i nie grzmiał! Żarcie paskudne, piwo, ledwo sfermentowane, a

siano na pryczach stęchłe jak gówno demona.

– Biednyś mężusiu. . . – Heldryka pogładziła zmierzwioną brodę olbrzymia.

– Co prawda to prawda. Ale dzień odpoczynku był. I musicie wiedzieć, że był to nasz pierwszy dzień bez musztry od kiedyśmy wojskowymi zostali. Pamiętasz Velmuth, sam mówiłeś, że jednak dowódca też człowiek i jak widzi, że trzeba to odpocząć daje.

– Odwołuje com powiedział. Gdybym wiedział co będzie dali, pewno bym się tak ładnie o nim nie wyrażał.

A następnego dnia przed świtaniem ten barbarzyńca zbiórkę w pełnym rynsztunku ogłosił. Zapakował każdemu po sześć żelaznych racji i nakazał wymarsz biegiem. Pod górę, z całym tym diabelnym sprzętem, bez słowa wyjaśnienia.

– Przesadzasz.

– Jak przesadzam? No może nie biegiem, bo z takim ciężarem niepodobna było biegać. Ale gdyby było można, to pewnikiem byśmy biegli.

– No cóż, przyznać trzeba, że lekko nie było. Wspinalim się przez cztery księżyce, prawie bez odpoczynku. A, że ścieżyna była tak wąska, że i wyminąć się nań było nie łatwo, wozy zostały w dole i cały sprzęt trza było targać ze sobą. Noc spędziliśmy na skale śpiąc pod gołym niebem.

– Czuję się jak jakaś chędożona kozica. A ten dziad z sercem kamiennym jak u trolla, nawet ognia nie pozwolił rozniecić, myślałem, że mi broda śniegiem zarosnie, a oczy zamarzną z tej zimnicy – burknął Velmuth gładząc swoje czarne brodzisko.

– Przesadzasz. Przynajmniej już wiesz po cośmy te dwutymowe koce, na które tak narzekałeś, tachali ze sobą całą drogę.

– Brrr! – otrząsnął się Velmut – Na samą myśl o tej nocy ciarki mnie przechodzą.

– Skoro świt rano ruszyliśmy w dalszą drogę.

– A mgła była taka, że jeden z naszych mało co nie dokonał żywota spadając w przepaść.

– Poślizgnął się biedak i gdyby nie to, że któryś za nim złapał go za toból, co go niósł na plecach, nie byłoby co z chłopą zbierać. . .

– Myśmy szli w pierwszym rzędzie – Velmuth poklepał druha po ramieniu.

– Jak się dało iść w rzędzie oczywiście.

– Oczywiście.

– No i zapierdalalim jak te kozice. Tego dnia weszlim naprawdę wysoko. A kiedy mgła opadła naszym oczom ukazał się niesamowity widok.

– Prawda. Jeszczem czegoś takiego jak żyję nie widział. Zdawało mi się, że jestem jak ptak jakiś, aboli jeden z bogów, który patrzy na nasz złoty kraj z wysoka. – otarł wargi Velmuth.

– Prawda! Lasy były jak zielone plamy, rzeki jak niebieskie wstęgi, a dróg i wsi prawie w ogóle widać nie było.

– Ja tam widziałem wioskę i miasto nasze. Mówię wam, jestem pewien! I ratusz widziałem i wieżę czarodzieja naszego miłościwego, Villefrëna! . .

– Na księżyc przed zmierzchem, kiedyśmy byli już naprawdę wysoko, dowódca zarządził postój. Góry znowu pokryły się mgłą. . .

– I zimno znów zrobiło się jak zaraza.

– No rzeczywiście, trochę zimno było. Popas mieliśmy na sporej wielkości półce skalnej szczęściem nieco od wiatru osłoniętej, tuż pod samym szczytem góry. I wtedy dopiero dowódca przedstawił nam cel naszej wyprawy. . .

Tu Jurgen przerwał, przyciskając do ust kufel, pił długo. Velmut wskazał karczmarzowi pusty dzbaniec.

Biesiadnicy zamarli w oczekiwaniu na dalszy ciąg, nikt nie zauważył jak do karczmy weszła zakapturzona, zgarbiona postać i jak spoglądając w kierunku siedzących za stołem obleganych przez tłum kuzmistrzów, powoli wsunęła się w najciemniejszy kąt izby.

* * *

– Bluno? A jak mamy wcześniej włąć? – spytała jasnooka dziewczynka, czepiając się ramienia tęgiego, kędzierzawego

chłopaka przerzucającego przez ramię chlebak.

– Na pewno nie wrócą. Przecież sama dobrze wiesz jak twoja mama lubi tańce. – Odpowiedział Bruno odgarniając grzywę czarnych włosów raz po raz opadającą mu na czoło.

– Jak chcesz to możesz nie iść – stwierdził stanowczo i z wyższością Johan – Nikt cię nie zmusza. Ale widać z tego, że zostaniesz sama, bo wszyscy idziemy.

– Ja baldzo chce zobaczyć kwiat papłoci, ale mama zawse nam mówiła, zeby nie wychodzić nigdzie nocą! A Biały Gaj jest daleko! – Krzyknęła zdenerwowana dziewczynka, a w jej jasnych oczach zapaliły się ogniki bezsilnego gniewu.

– Choć Ulga. Nie denelwuj się. – Powiedziało z trudem najmłodsze dziecko ciągnąc dziewczynkę za rękę.

– Pewnie ze pójde, a co! I wcale się nie boję! – Ulga wcisnęła na głowę czerwony beret strojąc przy tym bardzo zabawną minę. – Ale jak Hans włóci będzie źle.

– Świetnie. No to idziemy. – Bruno, biorąc się pod boki, spojrzał surowo po otaczających go rumianych twarzach.

– Ale, wy brzdące musicie przysiąc, że nie wypalacie ani słowa nikomu. Jasne?

– Jasne! – krzyknęły chórem wszystkie dzieci.

– Dobra. To idziemy! Nie ma co dłużej gadać. Bo braciszek Hans gotów rzeczywiście wrócić.

– Rzucił przez ramię Johan otwierając drzwi. Za nimi była ciemna, pachnąca latem noc. Cienie chat czerniały na tle rozgwieżdżonego nieba, ciepły wiatr szeleścił między liśćmi drzew, wlewał się do izby.

Johan pierwszy przekroczył próg izby wkraczając w noc. Za nim szybko i cicho podążyła reszta dzieci.

* * *

– Dowódca, stając na podwyższeniu zebrał wszystkich wokół siebie. – Kontynuował Jurgen oblizując pianę z wąsa

– Znaczy na głazie. – Sprostował Velmut – Stanął na głazie.

– I powiedział nam, że w górach krawędziowej części Naszyjnika Gorgony dzieją się ostatnio złe rzeczy. Że kupieckie karawany i zwykli podróżni, częściej niż zwykle giną na szlakach, nie wracają

– Pono z niektórymi wioskami nie ma już kontaktu od dawna. – dodał Velmuth pociągając z kufła

– I że podobno ktoś widział górskie orki.

– Prawda. – przytaknął Jurgen – Dlatego też król nasz miłościwy zarządził zbadać tą sprawę i wyznaczyć do tego zadania Barona z okręgu Glosenfaun, czy Glosenbraun?

– Jakoś tak.

– Baron tenże, że drużyny zbyt licznej nie posiadał zwrócił się o pomoc do naszej szlachetnej Armii.

– A ta, nie myśląc długo wyznaczyła nas do tego zadania. – Warknął z wyraźnym niezadowolaniem w głosie Velmut.

– Tak. – kiwnął głową Jurgen – Ponieważ nasz baon był najbliższą stacjonującą jednostką.

– Taaak, jasne! Tak nam powiedział dowódca. A widzisz tu ogon¹? – Zapytał Velmuth wskazując na swój zadek

– No dobra – Jurgen machnął ręką. – Może najlepiej wyszkoloną. Czy to ważne?

– W każdym razie mieliśmy się spotkać z drużyną owego barona, nie pomnę już jak mu było, na owej półce skalnej.

Zaraza jedna wie czemu akurat takie miejsce wyznaczyli sobie nasi dowódcy na to spotkanie, no ale nie nam dochodzić tego.

– Ale jak już tam dotarliśmy. Nie wspomnę po ilu trudach. Nie było tam nikogo oprócz nas i górskich kozic.

¹ „A widzisz tu ogon” – powiedzenie baeruńskie rozpowszechnione na cały Kontynent, używane by podkreślić powątpiewanie

– Dowódca stwierdził, że pewnie jeszcze nie dotarli i dlatego zarządził postój do czasu przybycia baronowej drużyny.

– Oczywiście o ogniskach znowu nie było mowy. – wtrącił z przekąsem brodaty.

– Oczywiście. – pokiwał głową Jurgen – Dowódca powiedział nam jeszcze, że owa wioska co to z nią ma kontaktu od wiosny leży tuż za szczytem, po osiowej stronie góry.

– Zupełnie nie pojmuję dlaczego nie poszliśmy sprawdzić tego od razu?

– Cóż, rozkaz to rozkaz. Rozstawiliśmy strażę i czekamy. Po zmroku mimo tego, iż mgła lekko zrzędła, nastroje nie były najlepsze.

– A jakie miały być? – wydał wargi Velmuth – Ciemno, zimno, żarcie twarde jak ogon warana, w smaku także paskudne, a jeszcze nikt się nie spodziewał co jutro przyniesie.

– Ale i tak wszyscy posnęli jak baranki, łącznie z tobą Velmucie.

– Oj tak! Tej nocy, trza to przyznać, miałem piękny sen – rozmarzył się Velmuth, spoglądając znacząco na siedząca mu na kolanach Heldrykę.

– Warty zmieniały się co księżyc po pięciu ludzi. – kontynuował Jurgen – A tak się złożyło, że i na nas przyszedł czas. . .

– Ha! – huknął Velmuth, aż zgromadzeni podskoczyli zaskoczeni.

– Nasza warta przypadła przed świtaniem, no i po mniej więcej pacierzu udało mi się dobudzić Velmutha, który to. . .

– Zaczekaj ja opowiem – wtrącił donośnym basem brodaty wojak.

– No więc, śniło mi się właśnie, że siedzę sobie w karczmie, wyostrzyłem noże i spoglądam na dziką leżącego przede mną na stole. Już, już się miałem zabrać za krojenie bydlaka, a ten jak łypnie na mnie prawym okiem!

Jurgen, widząc że szykuje się dłuższa opowieść, rozsiadł się wygodnie przygarniając mocniej do siebie Eudorę

– . . . A potem lewym okiem! I nagle, hyc ze stołu! Patrzą co się dzieje, a on pod stół, to ja za nim pod stół.

Bestyja, jak na piezzonego dzika była wyjątkowo szybka – tłumek zarechotał

– A mnie jakby kto kowadła do nóg poprzywiązywał – kontynuował Velmuth, gestykulując przesadnie

– Ledwom go mógł gonić. No, ale jak zobaczyłem, że mi zaraz wieprz przez okno wyskoczy i zemknie, zebrałem w sobie wszystkie siły. I hop mu na grzbiet!

– I co? I co? – zainteresowali się biesiadnicy

– No wtedy się obudził. I patrzę, a za gardło trzymam Jurgena. . .

Cała karczma jak jeden mąż ryknęła śmiechem.

– Mnie wcale nie było do śmiechu! – kontynuował Velmuth przekrzykując tłum.

– Mnie też. . . – dodał Jurgen głaszcząc włosy Eudory.

– Mowa! Jurgen, cały siny, zwisał do połowy ze skały, ja siedziałem na nim, a jacyś kamraci próbowali mnie odciągnąć.

– I wtedy zobaczyłem! – przerwał dla podkreślenia dramatyzmu opowieści. Po chwili podjął podnosząc głos.

– W dole, kilkanaście stóp poniżej, zobaczyłem zmasakrowane ciała żołnierzy!

Poczochrał brodę, powiódł spojrzeniem po otaczających ich twarzach

– Krzyknąłem i odskoczyłem do tyłu ciągnąc za sobą Jurgena, który, jak już stanął na równe nogi, myśląc pewnie, że dalej śpię, odwdzieczył mi się wcale potężnym sierpowym. Nie zdążyłem mu powiedzieć że się obudził, bo nagle jak coś nie świśnie, przelatując obok nas! Jurgen krzyknął i złapał się za dłoń! A tu grad strzał prosto z nieba!

Ryknąłem: „Wszyscy pod ścianę!!! Strzelają!!!” I ciągnąc za sobą dwóch towarzyszy przypadłem do skały. Po chwili większość kompanii znalazła się pod ścianą, gdzie strzały nie mogły nas już dosięgnąć.

– Niestety nie wszystkim się udało – wtrącił Jurgen odstawiając pusty kufel

– No, nie wszystkim. . . czwarta część naszego baonu już nigdy się nie obudziła. . .

Eudora jęknęła cicho, przytulając się do męża.

– Po chwili zdawało się, że zagrożenie jakby minęło. Dowódca wydał rozkaz przygotowania się do obrony.

– Wroga nie dało się zobaczyć, ale wyraźnie słyszeliśmy jak schodzili w dół.

– Ta. – Velmuth porozumiał się wzrokiem z towarzyszem. – A kiedy oni schodzili, my zdążyliśmy załadować kusze i odciągnąć rannych pod ścianę. . .

– Aż tu nagle!!! – Ryknęli równocześnie.

– Wróg spadł na nas ze wszystkich stron!!! – krzyknął Jurgen.

– Setki paskudnych, śmierdzących, zawuszonych orków!!! – zawtórował mu Velmuth

– Oddaliśmy po jednym strzale, nie było czasu ładować. . . Odrzuciliśmy kusze i..

– I wyjęli berdysze!!! – nie wytrzymał brodacz.

– Ale była młócka! Ludkowie! Korpusy śmierdzieli latały na prawo i lewo!

– Dowódca próbował wydawać jakieś rozkazy. . .

– I tak nie było go słyhać! – wrzasnął uradowany Velmuth i zerwawszy się z miejsca czerwony z podniecenia zaczął wymachiwać rękami, udając, że trzyma swój wyostrzony berdysz – Rach!! Ciach!! Padali jak muchy, powiadam wam! – Brodacz przeżywał chwile walki jakby działy się po raz drugi.

– Wybiliśmy ich do nogi! – próbował przekrzyczeć towarzysza Jurgen.

– Co do jednego! Parszywców! – Velmuth przycichł prawdopodobnie dla nabrania oddechu. Jurgen natychmiast wykorzystał sytuację chwytając silnie druha za ramię i przyciskając do ławy, powiedział

– Orkowie nie byli trudnymi przeciwnikami, broń mieli prymitywną. Ale musicie wiedzieć, że ich siła tkwiła w ilości. Gdyby było ich więcej nie dalibyśmy rady. Sam otarłem się o śmierć. . . – powiedział powoli, z poważną miną wskazując zabandażowaną dłoń.

– E tam! Gadanie! Pokonalibyśmy ze trzy razy tyle! – wydał wargi Velmuth chwytając towarzysza za opatrzoną rękę i podnosząc ją do góry

– A to?! To nawet nie jest draśnięcie. Teraz ty przesadzasz.

Eudora zachlipała przytulając się mocno do ramienia Jurgena.

– Najważniejsze, że jesteście cali – skwitowała Heldryka.

Na co Eudora podniosła roziskrzony wzrok na męża

– Nasi bohaterowie!!! – krzyknęła.

Publiczność poczęła bić brawo, wydając przy tym liczne nieartykułowane okrzyki radości i zasypała wojaków pytaniami.

Bohaterowie rozparci wokół stołu, wypinali dumnie piersi i popijając piwo ze skwapliwie podstawionego im przez karczmarza dzbana, gadali.

* * *

Rozmowy, pieśni i okrzyki wychwalające chwałę Baeruńskiej Armii ucichły dopiero nad ranem. Gwiazdy blakły szybko na letnim niebie, pianie kurów przywitało wracających do wioski kuzmistrzów.

– Aleście nam wszystkim niespodziankę sprawili! – mruknęła uradowana Heldryka, jedną ręką otwierając furtkę

drugą klepiąc Velmutha w tyłek.

– Ano wszystkim! – uśmiechnięta Eudora pocałowała męża w policzek.

– Ale się dziadki ucieszą! Co wieczór opowieści o was chciały wysłuchiwać. A ja – westchnęła – ostatnio nie miałam najlepszych chwil.

Weszli na podwórze. Pierwsza Heldryka zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Co do kroćset!?! – huknęła, widząc uchylone drzwi od stodoły, puściła ramię Velmutha i ruszyła w tamtą stronę.

Drzwi chaty też były otwarte, Velmuth popchnął je lekko wsuwając głowę do wnętrza, Jurgen zajrzał za nim.

Do izby wlało się światło. Na środku polepy siedział Hans, tępym wzrokiem wpatrując się w wygasły, ciemny piec.

– Co u licha? – Spytał zdziwiony Jurgen

– Hans? Co z tobą? – Velmuth przypadł do syna, potrząsnął nim silnie.

– Hans!!! – wrzasnęła Heldryka trzaskając drzwiami od stodoły – Ile razy mam ci mówić o zamykaniu. . .

Zakapturzona, okutana w czarny płaszcz postać wychyliła się zza płotu wbiła czarne oczy w twarz Eudory.

– Jurgeeeen! Juuurgeen! To on! Jurgeeen!

Krzyk Eudory poderwał wszystkich z miejsca, Jurgen wypadł z chaty, w trzech krokach dopadając szlochającej, zgiętej w pół żony. Eudora zachłysnęła się płaczem wpadając w ramiona męża.

– Co?! Co się stało? Ty drżysz?! Co to za jeden? – Jurgen podążył spojrzeniem za wzrokiem Eudory.

– Dzieci! Dzieci zniknęły!!! – Dobiegł z wnętrza chaty bas Velmutha.

– Co?! Co ty wygadujesz?! – Heldryka wpadając do izby zderzyła się z mężem.

Zobaczyła siedzącego na podłodze, zanoszącego się szlochaniem Hansa

– Nie ma ich! Nie maaaa! Wszyyyyscy zniknęli! Wszy. . .

– To ON!!! – wrzasnęła nagle nie swoim głosem Eudora, wskazując palcem zakapturzoną postać

– To ten dziad!!!

Starzec cofnął się o krok, zdezorientowany patrzył to na Eudorę, to na wybiegających z chaty Heldrykę z Velmuthem,

– Mojeee dzieeeeci! Mooooje dzieeeeci!!! – wyła Eudora rwąc włosy, drapiąc twarz. Jurgen starał się ją uspokoić. Bezskutecznie. Spazmująca kobieta zemdląła.

– Jak żeś coś któremuś z moich malców zrobił pożałujesz!!! – krzyknęła drżącym głosem Heldryka łapiąc za stojące u drzwi widły ruszyła w kierunku siwowłosego.

Jurgen był szybszy, jednym skokiem przesadził płot. Zakapturzony mężczyzna nie zdążył się nawet odwrócić, prawy sierpowy powalił go na ziemię.

– Gadaj coś za jeden! – krzyknął purpurowy z wściekłości kuzmistrz szarpiąc starca za poły kubraka

– Gadaj jeśli ci życie miłe! Gadaj!!!

Mężczyzna nie odpowiedział, zamknął tylko oczy.

Jurgen poczuł pod butem coś twardego. Za pasem nieznanego tkwił wąski sztylet, z rzeźbioną rękojeścią. Jurgen wyrwał go szybkim ruchem. Ostrze było pokryte czarną, skrzepniętą krwią.

* * *

Głośnie kroki rozległy się w korytarzu ratusza, silnie pchnięte drzwi uderzyły o ścianę.

– Powiedział coś?! – Bruno Lechzeit, grodzierzca Asche rzucił na stół zdjęte przed chwilą rękawice.

– Nie panie. Ani słowa. – Niewysoki, krępy dowódca straży potarł w zakłopotaniu brzydką bliznę przecinającą skosem podbródek.

– Skąd on się wziął w ogóle, ten milczek? Czemu kręci się koło rodziny Hetzów? Czego chce od tej Eudory? Dawny kochanek? Szpieg? A jeśli szpieg to czyj?

– Nie wiem panie. – Strażnik zmierzwił sobie imponujące rude wąsy

– Ale panie. . .

– Co?! – huknął grodzierzca siadając zamasyżycie za pokrytym papierami stołem.

– Można by poprosić mistrza Villefrëna, może on by coś poradził? Pono czarodzieje i z trupów wiadomości wyciągać mogą, to z żywego nie wyciągnie?

– Nie, Küss. Nie będziemy do tego mieszać czarodzieja. Jeszcze tego brakuje, żeby mi zarzucali, że sam nie umiem rozwiązać sprawy. Na prosty rozum to on jest winny. Winny jak sto demonów! Ale powiedz mi Küss, jak ja mam skazać człowieka, który nic nie mówi? Gdyby się okazało, że to jednak nie on porwał dzieci, baron van Hast urwie mi jaja!

Ja na bezprawie w Okręgu pozwolić nie mogę! Ale z drugiej strony, jak go wypuszczę, ludzie zrobią samosąd i bezprawie gotowe.

– Dzieci nie znaleźli? – Spytał po chwili.

– Nie panie. Kamień w wodę. A kuzmistrze nalegają na szybką egzekucję.

– Jeszcze oni mi potrzebni. Armia się do tego nie miesza mam nadzieję?

– Nie panie. Ale Kuzmistrz Hetz groził, że jeśli więzień nie będzie wisiał, złoży skargę u barona.

– A baron go wysłucha przede mną! Widzisz jak to jest Küss, armia trzyma mnie za dupę, ponad prawem, psia jej mać, postawiona. I co ja mam niby zrobić?

– Skażcie go panie. Tak będzie lepiej. Niby kto zaświadczy, że to nie on porwał dzieci? Dziwny to jakiś człek, choć męczy mnie jakbym go kiedyś widział już, ale nie wiem ani gdzie, ani kiedy. . .

Lechzeit machnął ręką lekceważąco

– Przeciw jego milczeniu mamy słowo kuzmistrzów, oskarżenie matki. – podjął dowódca straży.

– Rada miasta się przychyła. – Dodał.

– Niehonorowo jest skazywać człowieka, który nie może się bronić. . . Ale kuzmistrze nie popuszczą.

Hetza zżera chęć zemsty, dzieci mu zginęły, żona zmysły postradała, ponoć źle z nią. Gdyby mu pozwolić, gołymi rękami rozerwałby dziadygę. A ten milczy! I patrzy! – Grodzierzca huknął dłonią w owinięty skórą stos papierzyk.

– A ta rana, setniku? – Zapytał po chwili milczenia.

– A właśnie, panie. Kapłani mówią, że dziwna to jakaś sprawa. Wygląda pono jak typowe cięcie, biczem, albo batogiem zadane, ale goić się nie chce. Nic nie działa na nią, medykamentów już próbowali i magii. Nic. Odkąd w lochu siedzi, zajmują się nim medycy, a ręka dalej krwawi na potęgę.

– Dziwne.

– Ano, dziwne. Bo i dziwny jest sam... Cichy, siedzi tylko, tymi czarnymi oczyskami wierci. A jakeśmy mu ten sztylet co go nosił ze sobą zabierali, rzucił się na nas jako ten lew. Aż musieliśmy go kijem uspokoić.

– Ten sztylet? – Lechzeit podniósł ze stołu nóż o wąskim ostrzu i rzeźbionej w fantazyjne wzory rękojeści.

Rękojeść, kiedyś zapewne biała, teraz poznaczona była brunatnymi plamami, pociemniała.

Miał coś jeszcze? Pergaminy? Bizuterię?

– Nic. Tylko ten sztylet.

– Wygląda trochę na rytualny jakiś nóż – grodzierzca zastanowił się chwilę

– Albo na pamiątkę rodową... No cóż, nic nie wymyślimy Küss. Niech rada miejska zbierze się jutro po południowych modłach.

W poszukiwaniach dzieci brała udział cała wieś, część straży miasta, oraz baon kuzmistrzów.

Po dwóch tygodniach poszukiwań zaniechano.

Pojmany starzec nie odezwał się słowem. Sąd miejski uznał go winnym porwania, a zapewne i mordu pięciorga.

Rozdział 2

Czarcie koło.

Eudora nie spała.. Dogasający żar rzucał słabe, migoczące światło, cienie tańczyły po niewielkiej izbie. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby, czerwonej farby, którą kilka dni temu ojciec Eudory pomalował wielki piec.

Leżąca na zapiecku dziewczynka wsłuchiwała się w odgłosy śpiącego domu, w głosy myszy dobiegające spod podłogi, ciche skrobania i piski raz po raz zagłuszane gromkim chrapaniem ojca Eudory rozchodzącym się echem po całej chacie.

Słyszając trzy krótkie stuknięcia w okiennicę dziewczynka zwinnie zeskoczyła na ziemię, delikatnie przekroczyła nad śpiącym na skórach zaścielających podłogę dziadkiem, na paluszkach przebiegła do sieni. Gładko zamykając za sobą drzwi wyszła z domu.

– Hej! Eudora! – Ciemnowłosy, niewiele wyższy od dziewczynki podrostek wychylił się zza pnia wiekowej gruszy, pomachał, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Cześć Volf – odpowiedziała jasnooka odwzajemniając uśmiech.

– Idziemy?

– Idziemy.

Była ciepła letnia noc, rozgrzane upałem hamady¹ pachniały oszałamiająco. Świerszcze z zapalem cięły w wysokich trawach, gdzieś w oddali rozszczeakał się pies, po niebie wolno, majestacyjnie płynął zwrócony w dół rogalik księżycyca.

Smutnia, środek miesiąca.

Zbliżała się północ. Dwójka dzieci szła miedzą między polami. Do Białego Gaju nie prowadziła żadna droga.

– Volf? Może powinniśmy to przełożyć? – spytała nagle Eudora

– Heldryka nie może iść. A ja... Ja... .

– A ty co?

– A ja się boję, no wiesz... – powiedziała powoli dziewczynka,

– Co? – Przerwał chłopak wytrzeszczając na towarzyszkę czarne jak węgiel oczy.

– Jak tata się dowiedzą... – Dodała po chwili widząc groźne spojrzenie chłopaka

– Nic się nie bój. Ha! Zobacz lepiej co dostałem od dziadka na urodziny!

¹Hamada, czyli step, czyli łąka. Znaczą się, obszar porosły gęsto trawą i innym zielskiem. Baerun słynie ze swych wysokich, sięgających niekiedy powyżej pasa traw porastających większość kraju (to znaczą tą większość, której nie zajmują pola uprawne i pastwiska). Baeruński step, z racji urodzajności gleby, wielkiej różnorodności roślin, tego, że wbrew nazwie nie jest wcale suchy i dlatego, że baeruńskie gatunki traw i turzyc w przeważającej większości mają barwę złotą, lub białawą, rzadko natomiast zieloną, nazywany jest właśnie hamadą.

Volfgang wyjął zza pasa długi, wąski sztylet. Ostrze błysnęło srebrnie w świetle księżyca.

– Piękny. – Pokiwała głową Eudora, dotykając białej, rzeźbionej rękojeści.

– Uważaj jest bardzo ostry! – chłopak szybko schował sztylet

– A ojcem nie masz co się przejmować, niby skąd miałby się dowiedzieć? – dodał głośniejsz, zakrywając nóż połą koszuli.

– A jak się dowie?

– A jak się dowie to co? No przecie cię nie zabije, bo i za co? Zresztą nie robimy nic złego! No choźe!

Zaśmiał się, chwytając dziewczynkę za rękę. Pobiegli ścieżką między łanami srebrzącej się w świetle księżyca pszenicy.

Po chwili jednak, zasapani śmiejąc się do siebie, zwolnili kroku.

Minął pacierz, może dwa i doszli na skraj wielkiego dębowego lasu. Wiatr delikatnie szumiał między liśćmi, ciepłe podmuchy niosły od pól zapach rozgrzanej ziemi, mimo to Eudora zadrżała. To tylko z zimna, powiedziała sobie, łapiąc chłopca za rękę. Wąska, kręta ścieżka prowadziła w głąb, znacząc się tylko jaśniejszą smugą między wielkimi pniami. Światło księżyca już tu nie docierało, wiszące nad drózką gałęzie wyginały się dziwnie, dalej, między pniami panował mrok.

Volf szedł pierwszy, ciągnął za sobą Eudorę, dziewczynka ściskając mocno rękę przyjaciela od czasu do czasu potykała się o korzenie.

– Volf? Powiedz mi, skąd wiesz, że zobaczymy prawdziwe wiedźmy?

– Czemu mówisz szeptem, przecież jesteśmy sami? – chłopak usiłował nadrabiać miną, chociaż doskonale wiedział, że gdyby w pobliżu nie było Eudory, nigdy by nie wszedł w nocy do lasu.

– No, skąd wiesz? – Nieco głośniejsz ponowiła pytanie dziewczynka.

– Jest smutnia. Babka mówi, że wiedźmy zawsze spotykają się w smutni, to ich święto.

– Ale skąd wiesz, gdzie się spotykają? – nalegała dziewczynka rozglądając się lękliwie po ciemnym lesie.

– No jak to gdzie? Na Sabatowym Wzgórzu! A myślisz, że czemu ono się nazywa Sabatowe? Oj Eudora, jaka ty jesteś głupia!

– A wcale, że nie! Nie jestem głupia i ono się nie nazywa Sabatowe, dziadek mówił, że nazywa się Łyse.

Łyse Wzgórze. Bo nic tam nie rośnie, żadne drzewa, ani nawet małe krzaczki... I dziadek mówi...

– Właśnie, że tak! A zresztą, Łyse, czy Sabatowe, nie ważne! – chłopak przyspieszył kroku, ciągnąc towarzyszkę za sobą.

– Chodź, bo się spóźnimy i wszystkie łyse wiedźmy odlecą z Sabatowego Wzgórza na miotłach!

Okolica zmieniła się, ciemne dęby ustąpiły miejsca białym pniom brzoź, wiatr szeleścił smętnie w długich, wiotkich gałęziach. Prócz jednostajnego szelestu, nic nie zakłócało ciszy. Nie odezwał się żaden ptak, nie poruszyło żadne zwierzę.

Ścieżka skończyła się, jak ucięta nożem, zwarty pas drzew otaczał kolistą polanę, wpinającą się na łagodny, zalany księżycowym światłem, stok wzgórza. Porastały go szare, ostre chwasty, kolczaste osty i szorstka, bura trawa.

Nad całym wzgórzem panowała ciężka, przygniatająca cisza. Jakaś groźba czaiła się we mgle zwieńczającej szczyt. Zatykała usta, jak lepkie błoto uciskała głowy.

Powietrze miało gorzkawy posmak.

Dzieci zbliżyły się niepewnie do skraju lasu. Eudora trzęsa się coraz mocniej

– Wracajmy, Volf. . . Proszę! Już nie chcę oglądać wiedźm. Strasznie tu jakoś. . .

Ale chłopiec, choć zęby szczeakały mu jak kastaniety, nie pozwolił jej poddać się panice.

– No co ty. . . jesteśmy już tak blisko. . . – szepnął jej prosto do ucha.

– Zobacz, na szczycie jakby dym widać. . . Podejdźmy bliżej, zobaczymy co tam wiedźmy gotują!

Dziewczynka wzdrygnęła się, ale posłusznie ruszyła za towarzyszem. Za żadne skarby świata nie zostałyby sama w tym strasznym miejscu.

Wolno wspinali się pod górę, kolczaste chwasty drapały im dłonie, czepiały się włosów, ubrań. Aura strachu otaczająca wzgórze jak ciasny kokon ścisakała im gardła, tłumiała oddechy. W połowie drogi na szczyt Wolfgang zatrzymał się nagle, milcząc wskazał coś przed sobą. O kilka kroków w górę, kapelusz przy kapeluszu, wyrastały z szorstkiej trawy niewielkie grzyby. Zdawały się kręgiem otaczać całe wzgórze, niektóre z nich wydzielaly mętną żółtawą poświatę. Dzieci trwożliwie przekroczyły nad dziwną formacją, ruszyły dalej.

Wzgórze jak ścięty stożek wybijało się ponad rozległą połać lasu. Mgła widoczna z dołu teraz roziała się, promienie księżyca lśniły na porozrzucanych tu i ówdzie wielkich, szarych głazach. Wiatr szemrzący w liściach brzoź u stóp pagórka nie docierał tutaj, na pociętym cieniach wielkich kamieni szczycie panowała przygniatająca cisza, jakby powietrze zastygło w ciężkim oczekiwaniu.

Dzieci rozejrzały się niepewnie, nagle Eudora pociągnęła przyjaciela za rękaw, wskazała wąską, niewyraźną ścieżynkę, wiodącą jak się zdawało wokół szczytu. Przestraszeni, starając się nie wydawać żadnego dźwięku, niemalże na palcach, trzymając się mocno za ręce, ruszyli ścieżką.

Nagle, cichy jak tchnienie wiatru szelest i ruch złowiony kątem oka, wbił ich w ziemię, paraliżujący lęk unieruchomił

nogi. Zza wielkiego, szarego głazu dobiegł ich głęboki, aksamitny głos.

– Witajcie. Czekałem na was.

Eudora zachłysnęła się jękiem, bo głos, choć piękny i melodyjny, przywodził na myśl płonące miasta, krew skapującą z wyostzonej klingi miecza, ciężkie, grobowe uderzenia dzwonów. . . Wolfgang zatrząsł się, on także musiał mieć podobne myśli. Ścisnąwszy silnie dłoń Eudory, powoli zaczął się cofać.

Wolno, wolniutko dzieci odsuwały się w tył, wpatrzona w miejsce, z którego dobiegł je głos. W tym samym momencie coś zaszeleściło na ścieżce za nimi. Oboje, jak na komendę odwrócili się, serca łomotały im, jakby chciały się wyrwać z piersi, Eudora pisnęła cienko, zaciskając powieki.

Na ścieżce, o kilka kroków przed nimi, stała, z jedną ręką niedbale opartą o bok, ciemna, smukła postać.

Mimo, że rogalik księżyca oświecał szczyt wzgórza, zalewając go srebrno-białym blaskiem, postać zdawała się pochłaniać światło, wielki, czarny kaptur zakrywał twarz, która w jego cieniu też wydawała się być czarna, tylko oczy świeciły w niej zimnym blaskiem.

– Kkim jesttęś? – chłopiec starał się by głos brzmiał pewnie, choć efekt całkowicie psuły szaleńczo szczeakające zęby.

– Moje imię nic ci nie powie, młodzieńcze. Jestem jednym z tych, których nazywacie Mrocznymi – Męczyzna na ścieżce poruszył się płynnie, wyciągając rękę w ich stronę. Głęboki głos zniewalał.

– Pójdziecie teraz ze mną. Nie ma już dla was odwrotu.

– Kto ty jesteś?! – Załkała Eudora, trzęsąc się jak wierzbowa witka.

– Co tu robisz!? Czemu nas straszysz?! – Zapiała łamiącym się w przerażeniu falsetem.

Volfgang desperackim ruchem chwycił rękojeść zatkniętego za pas sztyletu.

– Nigdzie nnnie pójdziemy! – Jęknął, zlany zimnym potem. – I nnnie będziesz nas stttraszyc. . .

Mężczyzna zaczął się śmiać, jedwabisty dźwięk spłynął im lodem po plecach, tak nieoczekiwany i straszny, że dzieci wrzasnąwszy jednym głosem rzuciły się do ucieczki, każde w inną stronę. Eudora pobiegła w bok, zanurkowała między pokruszone głązy, chłopiec puścił się ścieżką, raz po raz oglądając się za siebie, dyszał ciężko.

Nie przestając się śmiać mężczyzna zwinął się jak czarna, miękka wstęga. Świsnął bat, jak wąż oplatając przedramię Volfganga. Chłopiec potknął się i padł na kamienie, wrzeszcząc dziko, gdy splot batoga wgrzył mu się w skórę. Pałący ból szarpnął całym ciałem, ciepłe strużki krwi spłynęły z rany, zlewając nadgarstek i dłoń wsiąkały w mech.

– Powiedziałem przecież, że pójdziecie ze mną. – Czarna postać pochyliła się nad wijącym się na ścieżce dzieckiem.

– Ten kto mnie zobaczy, musi podążyć za swoim przeznaczeniem. – Jedną ręką poderwał z ziemi szamoczącego się dziko chłopca. – Idziemy, człowieku.

Eudora w panice zbiegała po stromym zboczach, potykając się co chwilę wpadała w wykroty, ciernie szarpały jej sukienkę. Kilka razy upadła, potknąwszy się o wystający z ziemi kamień, ostra trawa boleśnie pokaleczyła jej dłonie i kolana, po twarzy, mieszając się z brudem i kurzem, spływały łzy przerażenia. Trzęsła się, kuląc głowę w ramionach w oczekiwaniu, że znowu usłyszy ten przerażający głos. . . straszny śmiech. . . Ledwo żywa ze strachu nie przestała biec, dopóki nie znalazła się w swojskim otoczeniu kamiennych chat i plecionych z trawy płotów wioski.

Volfgang wierzgał dziko, przerażenie dodało mu sił. Kopał, gryzł, okładał pięściami napastnika, na którym jednak nie robiło to żadnego wrażenia. Szybkim ruchem zarzuciwszy na głowę chłopca śmierdzący krwią worek, mężczyzna powłókł go w dół zbocza, między ciemne, poskręcane korzenie wiatrołomu. Przeskakiwali lekko nad niewidocznymi w ciemności wykrotami, omijali czarne jamy, wystające z ziemi korzenie i głązy, aż stanęli nad ziejącą w ziemi, czarną głębią. Istota rozejrzała się wokół i zataczając osłoniętą czarną rękawicą dłonią krąg wokół siebie, rzuciła szybko kilka słów, w dziwnie brzmącym, melodyjnym języku. Po czym, trzymając mocno, wrywającego się wciąż chłopca, szybko i pewnie zagłębiła się w czeluść otwartej nagle Szczeliny.

Rozdział 3

Koniec końców.

Szare, zasnuwane ciężkimi chmurami niebo wisi nisko, zdaje się niemal dotykać dachów miejskich wież. Deszcz szumi monotonnie w ciasnych zaułkach, spływa spienionymi, brunatnymi strugami w rynsztokach, huczy w gardzielach rynien, gra w stalowych gargulcach zdobiących dach budynku gildii kupieckiej.

Szara kurtyna pionowych strug rozstępuje się z wolna. Rynek jest szczelnie wypełniony mieszkańcami i choć strumienie wody zamieniły pył i pokrywające bruk odpadki w lepka, gliniastą maź, a drewniane trotuary nie chronią nóg przed przemoczeniem, nikt ze zgromadzonego na placu tłumu zdaje się nie zwracać na ulewę żadnej uwagi.

W centrum placu, na podwyższeniu udrapowanego brudno błękitnym płótnem szafotu, wznosi się słup szubienicy. Na szafocie stoi mężczyzna. Niemłody już. Długa, czarna oponcza oblepia chude, lekko zgarbione ciało.

Woda kapie miarowo z poprzecznych belek, ciężkie krople spływają spiralnie po napiętym sznurze, torują sobie drogę wśród zmarszczek niesamowicie bladej twarzy. Długie, rozpuszczone włosy spływają na ramiona, oblepiają zniszczoną twarz skazańca niczym mokra, biała chusta.

Herold przed chwilą skończył czytać wyrok, nad rynkiem zapadła cisza, zakłócona jedynie jednostajną muzyką deszczu. Kat wsparty niedbale o belki szafotu rozgląda się po placu. W jego wschodniej części, tuż pod ścianą świątyni, stoi wyprężony, zwarty czworobok baonu Baerunskich Kuszmistrzów, deszcz moczy surowe, nieruchome twarze, spływa po błyszczących ostrzach berdyszów, kapie z rond miękkich kapeluszy, z oklapniętych od nadmiaru wody zdobiących je piór.

Tuż przy podwyższeniu stoi kobieta, jej błękitne oczy zasnuwa mgła. Zastygła w bezruchu, zdaje się nie zauważać wody, która moczy jej twarz. Mężczyzna na szafocie wbija czarne spojrzenie w oczy kobiety.

Głos werbli wybucha w ciszy nagle, głośno, natarczywie.

Skazaniec uśmiecha się, lekko unosząc kąciki warg, nie odrywając palącego spojrzenia od oczu kobiety. Pociemniałe od deszczu deski zapadni rozchylają się powoli, jakby w zwolnionym tempie.

Kilka gwałtownych ruchów i ciało skazańca nieruchomieje. Odzywają się pierwsze głosy, okrzyki. Jednak milkną szybko. Tłum powoli rozrzedza się.

Ulewa zasnuwa wszystko szarą, pionową zasłoną.

Złożone przy pomocy L^AT_EX'a dla historia.pl